

Samochód z piskiem opon wypadł zza zakrętu i uderzył wprost w barierkę wiaduktu. Huk uderzenia oraz jazgot gniecionej blachy uzmysłowiły Johnowi, że sytuacja robi się coraz bardziej niebezpieczna. Z ledwością udało się mu wyprowadzić auto z powrotem na szosę. Z mocno wgniecionym prawym bokiem oraz urwanym tylnym zderzakiem, bez przedniego reflektora, pędził dalej. Dlaczego właśnie przedni? Czy nie mógł stracić tylnych świateł? Wtedy byłby z pewnością mniej widoczny. Teraz czuł się jak na widelcu. Już od dobrych piętnastu minut widział w lusterku wstecznym światła pościgu. Przez głowę przelatywało mu tysiąc myśli na sekundę, dominowała jednak jedna – jak przeżyć dzisiejszy wieczór? Wziął głęboki oddech – tylko mocno skoncentrowany na prowadzeniu miał jakiegokolwiek szanse.

Myśl! myśl! – krzyczało coś z jego wnętrza – wymyśl coś, bo zgniemy!

W odpowiedzi na ten rozpaczliwy apel spróbował jeszcze raz przeanalizować swoje położenie. I znowu nic! Jezu – jak nic nie wymyślę, będzie po mnie.

Drogi, którą obecnie jechał, w zasadzie nie znał. Przejeżdżał tędy raz albo dwa, nigdy jednak nie skupiając uwagi na otoczeniu. Teraz wydawała się niemal prosta. Dodatkowo z każdej strony porastał ją las. Złowrogie, gęste drzewa łączyły się koronami, tworząc naturalne tunele. W innych okolicznościach pewnie podziwiałby ten cudowny mariaż natury i ludzkiej myśli technicznej – ale nie dziś. Las zdawał się jawić jak czarna dziura, pochłaniająca wszystko, co znajdzie się w jej sąsiedztwie. Jednego był pewien – teraz absorbował wszelkie promienie światła z wychodzącego od czasu do czasu zza chmur księżyca. Na jego ustach pojawił się grymas uśmiechu – egipskie ciemności, tylko tak mógł to nazwać.

W zasadzie nie wiedział, czemu wyjechał z miasta. Tutaj, na tej szosie, nie miał żadnych szans. Cholera – dlaczego człowiek nie zwraca uwagi na drogę, jak jedzie nią w biały dzień?

Znowu spojrzął w lusterko wsteczne – pościg był coraz bliżej.

*

Zaczął się banalnie, jak w każdą sobotę, od paru głębszych, gdzieś w klubie na mieście. Havana Club – zaszedł tu po raz pierwszy. W lokalu, zgodnie z nazwą, dominował klimat latynoskiego luzu, chęci do życia i zabawy. Kolorowo ubrani ludzie w różnym wieku kręcili się po parkiecie w rytm salsy czy czegoś tam podobnego. Nigdy nie umiał dobrze tańczyć, a rozpoznanie przez niego jakiegoś tańca graniczyło wręcz z cudem lub było po prostu dziełem przypadku. Matka od zawsze mówiła mu, że ma dębowe ucho – i miała całkowitą rację. W latach, kiedy na listach przebojów królował rock, tak jak wielu jego rówieśników zapragnął założyć własny zespół. Namówił rodziców na kupno gitary i zaczął mozolnie ćwiczyć. Ponieważ efekt jego samodzielnej nauki był, skromnie mówiąc, lichey, postanowił zapisać się na jakiś kurs. Na egzaminie wstępnym z rytmiki dowiedział się strasznej prawdy, której powoli zaczynał się domyślać – po prostu nie miał słuchu. Odpuścił więc sobie grę na gitarze, a wyciągnięte – być może pochopnie – wnioski nie pozwoliły mu na podjęcie prób nauki tańca. I tak, na wszelkich imprezach był królem, tyle że nie parkietu, a wszelkiego rodzaju kanap, krzeseł, zydli czy co tam stało pod ścianą. W ostateczności, jak nie było na czym usiąść, skutecznie podpierał ściany, aby się na niego nie zaważyły.

Tak więc, jak zwykle, siedział i z zazdrością spoglądał na tych, którym wychodziło. Zobaczył ją omiatając salę smętym i zrezygnowanym wzrokiem. Była zmysłowo piękna i jak domniemywał na podstawie swojego doświadczenia, najprawdopodobniej również pusta, niemniej dzisiaj wcale mu to nie przeszkadzało. Nie szukał towarzystwa do konwersacji, a jedynie obiektu pożądania. Siedziała samotnie przy barze, sącząc whisky z lodem, co jak na ten lokal ocierało się o bluźnierstwo. Tym bardziej wydała mu się bliska, że tak jak i on nie pasowała do tego otoczenia. Była inna, a nieco później miał się przekonać, jak bardzo inna.

Topiła swój żal po tym, jak Roberto wyrzucił ją z furją ze swojego łóżka. Wiedziała, że jest porywczy i potrafi być chamski, jak do tej pory jednak nigdy jej nie skrzywdził. Kochała go, a w zasadzie kochała jego pieniądze. Nie do końca wiedziała, skąd ma ich aż tak dużo, i nie chciała tego wiedzieć. Liczyło się to, że stać ją było na wszystko, czego zapragnęła. Tak było do dzisiaj. Czemu tak postąpił? Być może prze-

stała mu się podobać, a może się zestarzała. Liczyła jednak, że jego reakcje mogły być spowodowane jakimś niepowodzeniem w biznesie. Tak, to z pewnością był powód jego zachowania! Ale czy to go aby na pewno usprawiedliwia? Delektując się smakiem wlanego do szklanki alkoholu rozejrzała się po sali i wtedy go dostrzegła. Siedział samotnie ze zwieszoną głową, zauważyła jednak, że pilnie jej się przygląda. Odniosła wrażenie, że tak jak i ona wyjątkowo nie pasuje do tego lokalu. A może by tak... Nie, co za myśl, Roberto by ją przecież zabił.

Oboje nie pamiętali, jak rozpoczęli rozmowę. Po kilku drinkach i wzajemnym wylewaniu żółci na otaczający ich świat postanowili pojechać do Johna. Wychodząc nie zauważyli jednak bacznie przyglądającego się im mężczyzny, siedzącego na drugim końcu sali i rozmawiającego z kimś przez telefon komórkowy.

*

Goniące go bmw było coraz bliżej. Popułnił błąd i ta smutna prawda docierała powoli w zakamarki jego świadomości. I to nie fakt przespania się z dziewczyną szefa miejscowej mafii był największą jego dzisiejszą pomyłką, a to, że wyjechał poza miasto. Tutaj nie miał żadnych szans, szczególnie że ścigający go kierowca znał się na rzeczy. Z rykiem silnika goniący go samochód zrównał się z jego wozem. Kątem oka zauważył siedzących wewnątrz dwóch mężczyzn. Jednym z nich z całą pewnością był Roberto, o którym tyle mu opowiadała. To musiał być on, śniada karnacja, kruczoczarne włosy i blizna na policzku. Najbardziej rzucał się jednak w oczy jego pełen szyderstwa uśmiech i błysk złotej jedyńki, stanowiącej wraz z kilogramowym łańcuchem na jego szyi zgrabny komplet, którego nie powstydzilby się żaden jubiler. Kierowca bmw starał się go zmusić do zjechania do rowu, wiedząc, że zepchnięty z drogi John nie ma żadnych szans na przeżycie. Z całą pewnością rozbije się o któreś z drzew rosnących przy drodze. Jechali w końcu przez ponad stuletni las.

Dlaczego nie kupiłem sobie auta z poduszką powietrzną? – pomyślał John i w tej samej chwili otrzymał odpowiedź od swojego drugiego ja – bo chciałeś zaoszczędzić, palancie. Dobrze ci tak! Drugi raz nie popełnisz już tego błędu.

W zasadzie – pomyślał – ma rację, przecież nie będzie już okazji.

Wyglądało na to, że jego życie dobiegało końca. Nie tak go sobie wyobrażał. Nagle – zrozumiał. Dotarło do niego, że jedyną jego szansą jest zjechać z tej drogi. Wziął głęboki oddech i wciskając gwałtownie hamulec, odbił kierownicą, skręcając prosto w leśne ostępy. Miał nadzieję, że droga nie będzie zbyt wyboista, a nisko zawieszony bmw zakopie się za nim jako pierwsze.

- 1 -

Akurat w takiej chwili – Leon sapnął ciężko. Przerwał czytanie książki i wstał, aby odebrać telefon.

– Tak, słucham – burknął zdenerwowany do słuchawki. – Jaka przychodnia? Nie, to pomyłka, to prywatne mieszkanie.

Z niezrozumiałych powodów dość często odbierał tego typu telefony. Widocznie jedna z miejscowych przychodni miała łudząco podobny numer. Z początku nawet go to bawiło, ale z czasem zaczynało doprowadzać do szewskiej pasji. Tym bardziej, że ludzie nigdy nie słuchali, co się do nich mówiło. On swoje, a oni dalej swoje.

– Jakie tam prywatne, przecież mam numer – odezwał się znowu kobiecy głos w słuchawce. – To co z tym numerem!

– Chyba numerkiem – wtrącił sarkastycznie, myśląc sobie, iż numererek to on jej zaraz może zrobić. – Tylko jak, tak przez telefon? Jak tak bardzo pani nalega, to nie ma sprawy. Jaki chce pani numererek i u jakiego doktora? – odparł.

– Świnia – usłyszał z drugiej strony słuchawki. – Jak tak możesz! Oskarżę cię o stręczycielstwo przez telefon, ty bezwstydniku!

– Póki co, możesz mi... – zawiesił głos, aby nadać ostatniemu zdaniu szczególnej dramaturgii – ...za przeproszeniem... – Nie zdążył jednak dokończyć swojej błyskotliwej myśli, ponieważ kobieta rzuciła już słuchawką. – A szkoda – mruknął pod nosem – miałem jej tyle do powiedzenia.

Incydent ten wyprowadził go z równowagi na tyle, że odechciało mu się czytać. Poszedł więc do kuchni nastawić sobie wodę na herbatę.

Zapalając gaz omal nie stracił brwi. Po raz kolejny płomień liznął jego twarz. Muszę kupić sobie w końcu nową kuchenkę, bo tak jak John, nie będę musiał przejmować się dniem jutrzejszym – pomyślał,

drapiąc się po opalonym policzku. Czemu tak ciężko w tym kraju zarobić na cokolwiek? A może to ja jestem jakimś nieudacznikiem? W końcu niektórzy dorobili się całkiem niezłych pieniędzy. No tak, ale jak? Co drugi to złodziej albo z plecami. Tych z plecami to chyba coraz więcej, a i plecy mają coraz szersze. Ciężkie jest to nasze życie – westchnął i wrócił do pokoju.

Usiadł na swoim ulubionym fotelu, sięgnął po pilota i włączył telewizor. Niestety po raz kolejny miał pecha. Zapomniał się w tym całym czytaniu i dopiero teraz dotarło do niego, która tak naprawdę jest godzina. Trafił na czas wszelkiego rodzaju *Faktów*, *Wiadomości* i tym podobnych programów rozrywkowych. W zasadzie ostatnio coraz częściej można było o nich powiedzieć: programy sensacyjne czy wręcz horrory. Na miano informacyjnych zasługiwały w coraz mniejszym stopniu. Gdyby w Hollywood wiedzieli, jak niskobudżetowy może być serial z wątkiem kryminalnym, pewnie już dziś zafundowaliby sobie Komisję Specjalną Do Spraw Jakichśtam. Ale oni są na to za głupi. Lepiej wydawać ciężkie miliony na chimeryczne pseudogwiazdy. A my tutaj mamy swoje chimery i efemerydy – i to całkiem za darmo.

Z zamyślenia wyrwał go głos prezentera wiadomości obwieszczonego dobre nowiny:

Jak podała agencja PAP, przeprowadzona na zlecenie Czterech sonda wykazuje znaczną poprawę nastrojów społecznych po wstąpieniu naszego kraju do Unii Europejskiej.

Już się cieszę, jak cholera. Jak mi się w związku z tym polepszyło – wymamrotał pod nosem. – Zaraz pewnie powiedzą, że wskutek polityki rządu obniżyło się bezrobocie.

Ponadto należy zaznaczyć, że od maja do końca października tego roku zaobserwowano spadek bezrobocia...

Reszty komentarza nie dosłyszał, klnąc siarczyście na czym świat stoi.

Trzy godziny później skończył rozdział z zaskoczeniem na twarzy. Zawsze się dziwił, a przecież już tyle razy próbował sam rozwikłać zagadkę. Wydawało się, że już wie, co zrobi bohater, tymczasem autor szykował dla niego kolejne niespodzianki. Skąd oni biorą te pomysły, bo przecież nie z życia? Kto by to wszystko wytrzymał? Niemniej i tak pełen był podziwu dla ich pomysłowości. Gdyby tak chociaż raz móc przeżyć jakiś romans, jakąś aferę szpiegowską, uciekać ze strachem

w oczach, poczuć na plecach zimny pot. To byłoby życie.

Rozmyślając o tych wszystkich atrakcjach, nie zauważył, kiedy zmorzył go głęboki sen.

- 2 -

Od małego uważany był za dziecko specjalnej troski. Nie, nie był niedorozwinięty. Ale normalnym też nie można było go nazwać. W zasadzie w szkole nie wyróżniał się niczym szczególnym – ani zdolny, ani głupi, po prostu średniak. Był jednak na swój sposób nieprzeciętny – z niewiarygodną wręcz dokładnością szwajcarskiego zegarka ściągał na siebie kłopoty. W zasadzie jego przypadek był klinicznym zobrazowaniem praw Murphiego. Jeśli coś się miało urwać, to z pewnością w rękach Leona. Jeśli coś miało pójść nie tak, to na pewno Leonowi. Bardzo szybko tę szczególną cechę małego Leosia dostrzegli jego rówieśnicy. Jako że złośliwość ludzka, a już dziecięca w szczególności, nie zna granic, przywarła do niego ksywka Laczek. Była to trywialna, bardzo luźna i jednocześnie przewrotna wariacja na temat angielskiego słowa lucky – szczęściarz. Z biegiem czasu mały Leoś wyrósł na Leona, a przezwisko pozostawało nie zmienione. Tak samo, jak jego pech. Pokonywał w życiu wiele barier i problemów, jednak z pechem chyba nie było tak łatwo.

Okres studiów wspominał zawsze bardzo mile. Wybrał sobie, jak mu się wtedy wydawało, zawód niezmiernie interesujący i przynoszący niemałe profity – ekonomista. W tamtych czasach dostać się na ekonomię graniczyło wręcz z cudem. Wszyscy szli na ekonomię. Zaliczał kolejne sesje, obronił pracę magisterską i zatrudnił się w banku. To były czasy. Wyglodzona gospodarka, boom na rynku inwestycyjnym, rodzące się fortuny – i on, jako ten rozdzielający na prawo i lewo kasę. Aż tu pewnego dnia druzgocąca informacja – bank wykupili obcy akcjonariusze. Od tego czasu wszystko zaczęło się psuć. Atmosfera zaczynała przypominać obóz pracy. Rozpoczął się wyścig szczurów – kto komu dokopie, ten przetrwa i zostanie na stanowisku – reszta do odstrzału jako zbędny element kosztotwórczy. I tak w ten oto sposób Leon po raz pierwszy stracił pracę. Nie mógł się długo pozbierać. Pomogła mu w tym jego dawna koleżanka Ania, a właściwie rzecz ujmując, Anna S.

Tylko tak można o niej teraz mówić, bo była i jest ścigana przez prokuratora za liczne malwersacje i udzielanie lewych kredytów, o czym do dzisiaj nie miał zielonego pojęcia. W tamtym jednak czasie pomogła Leonowi stanąć na nogi. Przyjaźnili się dość długo, ale jak to się potocznie mówi, nic nie zaiskrzyło. Może i dobrze, bo kto wie, gdzie byłby teraz, gdyby tak padł ofiarą podstępnego Amora. Przy jego szczęściu z całą pewnością zamieszkiwałby w willi dwa na trzy metry z dwójką kochających inaczej współtowarzyszy, patrząc na smętnych i snujących się za kratami ludzi. A tak – ze względu na swoją z nią znajomość – zmuszony tylko został do odejścia i po raz kolejny stracił pracę. W zasadzie śmiało można by rzec, szczęście w nieszczęściu. Po raz trzeci chciał podjąć pracę poza sektorem bankowym, którego serdecznie już nienawidził. Jednak, jako Laczek, z powrotem trafił do banku. Tak więc nie pozostawało mu nic innego, jak uzalać się nad swoim losem i dzień w dzień powtarzać odwieczny rytuał dom–praca–dom–praca...

- 3 -

Obudził go przeraźliwy dźwięk budzika. W budziku chyba nie ma innych dźwięków. Choćby miał ich ze sto, tak jak komórki, i tak będą one zawsze denerwujące, głównie dlatego, że przerywają człowiekowi sen w najmniej spodziewanym i pożądanym momencie. Zgodnie więc z codziennym rytuałem rąbnął w budzik z całych sił, zastanawiając się, ile jeszcze dni wytrzyma przycisk go wyłączający. Otworzył oczy i jak to późną jesienią, zobaczył przed sobą ciemność. Nienawidził wstawać, kiedy na dworze było jeszcze ciemno. Czy to możliwe, aby sam fakt ciemności po przebudzeniu miał taki wpływ na ludzi?

Podniósł się, ale jeszcze nie wstawał, wyjrzał przez okno i stwierdziwszy, że leje jak z cebra, położył się z postanowieniem podrzemania jeszcze z piętnaście minut. Obudził się dobrze po siódmej.

O kurwa, znowu zasnęłam – zaklął i zrywając się z łóżka, pobiegł do łazienki.

Już się nie zastanawiał nad pogodą, temperaturą, oczywiście zapomniał, co mu się śniło. Jedno czego był pewien – że jak się znowu spóźni do pracy, niechybnie go z niej wyleją. Po raz czwarty – istny rekord. Przypominał sobie nie tak odległą w czasie rozmowę z szefem.

– Panie Leonie – zaczął kulturalnie i spokojnie dyrektor – z jakiego to ważnego powodu spóźnił się pan dzisiaj do pracy aż dziesięć minut?

Dziesięć minut... Palant – pomyślał. – Czy on nie widzi, czy nie chce zobaczyć, jak człowiek zasuwa po godzinach, po to żeby on mógł zebrać kolejne pochwały za wyniki, porządek i tym podobne bla, bla, bla.

– Przepraszam, ale... – cholera, nie zdążył wymyślić jakiegoś rozsądnego powodu, takiego, żeby się to jakoś kupy trzymało. – No więc ja... – zawahał się – ...urwałem sobie rano sznurówkę w bucie i nie mogłem znaleźć drugiej, a głupio byłoby iść do pracy w czarnych butach z białymi sznurówkami od adidasów. Nie sądzi pan, dyrektorze?

Chyba nie był to najlepszy z jego pomysłów, bo w odpowiedzi usłyszał:

– Widziałem wiele, nasłuchałem się w życiu różnych głupot, ale wy, Rosolak, przechodźcie samych siebie. Jak mi się jeszcze raz spóźnicie, to pamiętajcie, że na wasze miejsce jest tysiąc podań, a może nawet i tysiąc jeden.

Tysiąc jeden to jest drobiazgów, a nie podań... – chciał odburknąć, ale szybko ugryzł się w język. Zamiast tego zwiesił głowę i potulny jak baranek powiedział:

– Przepraszam, to się już więcej nie powtórzy

– No, ja myślę.

I znowu był o krok od skomentowania tej odkrywczej, a jakże fałszywej jego zdaniem myśli szefa. Dla rozluźnienia atmosfery i zakończenia konwersacji dorzucił niezręcznie:

– Ale pogodę to dzisiaj mamy fatalną.

Dyrektor popatrzył na niego jak na jakiegoś kretyna, chciał coś jeszcze dodać, ale machnął tylko ręką, obrócił się na pięcie i poczłapał do swojego gabinetu.

Uff – odetchnął Leon – jakoś rozeszło się po kościach. Ale swój limit szczęścia chyba już wyczerpałem. Trzeba się będzie na przyszłość mocniej pilnować.

Mając powyższą rozmowę – jak na żywo – przed oczami, postanowił skrócić toaletę poranną do niezbędnego minimum, co oznaczało ni mniej, ni więcej, jak umycie zębów i przeczesanie tego, co pozostało po czarnej czuprynie. Na śniadanie nie miał czasu – kupi sobie po drodze jakąś bułkę i jak to często mu się zdarzało, zrobi sobie kanapkę.

Tak więc, jak co dzień, o godzinie 7.25 wyszedł na odległy o pięć minut drogi przystanek autobusowy. Pod znoszoną już nieco jesionką nosił ciemny garnitur, białą koszulę i czerwony krawat. Uwielbiał czerwone krawaty. Mogły mieć różne desenie, wzory, zawijasy, ale desień musiał być czerwony. Nigdy się nad tym nie zastanawiał, ale w zasadzie był to jego znak rozpoznawczy. Tak samo jak woda po goleniu Old Spice. Był od niej uzależniony. Nie pamiętał nawet, kiedy i w jakich okolicznościach zaczął jej używać – teraz nie wyobrażał sobie bez niej golenia. Nawet wtedy, gdy się nie golił z braku czasu, tak jak dzisiaj, musiał ją wklepać w twarz. To go w jakiś dziwny i magiczny sposób relaksowało oraz podnosiło na duchu.

Tak jak sobie pomyślał, zaszedł do sklepu, kupił bułkę oraz kilka plasterków szynki drobiowej i skierował się na przystanek. Punktualnie o 7.35 przyjechał autobus. Co jak co, ale autobusy jeździły punktualnie. Przepuścił w drzwiach wysiadających, pomógł wdrapać się jakiejś starszce i skierował się na swoje ulubione miejsce w ostatnim rzędzie, tuż przy oknie. Trasę znał na pamięć, więc nie bardzo było co oglądać, ale miejsce to miało dwa zasadnicze plusy – po pierwsze, przez całą drogę nikt się koło niego nie przeciskał, po drugie, mógł obserwować z góry cały autobus. Dzisiaj siedziały przed nim dwie typowe przedstawicielki miejscowych gospodyń domowych, obrabiające tyłek trzeciej – oczywiście nieobecnej.

– Słyszałaś, jak się wczoraj gdzieś na górze wydzierali. To chyba u Kowalskiej.

– Nie, niemożliwe. Kowalska wyjechała ze swoim starym i dziećmi do matki. Nie będzie jej z jakiś tydzień. Mi się wydaje, że to u Zborowskiej. Słyszałam od Kwiatkowskiej, że coś nie za bardzo jej się układa z tym Francuzem.

– Też się babie na starość zachciało żyć z obcokrajowcem, przecież wszyscy wiedzą, że Francuzi są wygodni. Pewnie ma już dosyć latania i usługiwania mu. Sama bym mu przyłała.

– Wiesz co, Tereska – tak w zasadzie to wszystkie chłopcy są leniwe, nieważne, skąd pochodzą...

Miał już serdecznie dosyć tej babskiej paplaniny i odkrywczych sądów na temat jego płci. Kątem oka zdążył zaobserwować, że właśnie minęli komendę policji, co oznaczało, że przejechał już połowę drogi. Jeszcze dwa przystanki i będzie mógł wysiąść. Przestał słuchać i wbił

wzrok przed siebie. W tym samym momencie poczuł gwałtowne szarpnięcie i uderzenie. Widział, jak przód autobusu jest taranowany przez wyjeżdżającego tira. Stojący pasażerowie zaczęli się przewracać, tak jakby ktoś trącił poustawiane kostki domina.

Szczerliwym zbiegiem okoliczności autobus nie był przeładowany, a na przednim pomoście nikt nie stał. Wyglądało na to, że obędzie się bez karetek pogotowia i skończy na kilkunastu siniakach i zadrapaniach. Dzisiaj jednak wcale go to nie pocieszało. Skończyła się jego podróż, a to mogło oznaczać tylko jedno: kłopoty. Do pracy miał jeszcze ze trzy kilometry i tylko piętnaście minut. Przepychając się przez zdezorientowany i zszokowany jeszcze gąszcz kotłujących się ludzi i ich bagaży, wysiadł i rozpoczął wyścig z czasem.

Bieg z ciężką aktówką nie należał do przyjemności. Bardzo szybko okazało się, że nie ma żadnej kondycji. Organizm mścił się za jego lenistwo. Czuł, jak palą go płuca, oddech staje się coraz krótszy, a przed oczami pojawiają się mroczki. Jeszcze jeden zakręt i zobaczy budynek banku. O już jest – przystanął na chwilę, aby zaczerpnąć zimnego powietrza. Dzięki temu ugasił płomień szalejący w płucach i klatce piersiowej. Spojrzał na zegarek – było pięć po ósmej. Już był z czasem w plecy. Wziął głęboki oddech i rozpoczął finisz, ostatnie pięćset metrów. Może dzisiaj dyrektor ma jakieś umówione spotkanie – pomyślał. Czasami zdarzało mu się przyjść do pracy dopiero koło południa. Może chociaż raz uśmiechnie się do mnie szczęście – i choć wypowiedział te słowa, sam w nie nie uwierzył. O ósmej siedem był już na schodach, jeszcze tylko kilka stopni i będzie mógł swobodnie odpocząć.

Na korytarzu nie było nikogo, potwornie zmęczony otworzył drzwi, zdjął jesionkę i z głośnym hukiem osunął się na krzesło.

Rekord świata – pobiłem dzisiaj rekord świata w biegu z teczką. Szkoda, że jeszcze nikt nie wymyślił takiej konkurencji.

Rozmyślając tak, czuł, jak bardzo powoli oddech wraca do normy, a poziom adrenaliny zaczyna opadać. Z tego błogostanu wyrwał go dźwięk dzwonka telefonu stojącego na jego biurku.

– Leon Rosolak, słucham.

– Nooo, raczyliście przyjść dzisiaj do pracy, Rosolak. A czym to sobie zasłużyłem na taką szczodrość z waszej strony? Hm! Natychmiast do mojego gabinetu!

– Tak jest, panie dyrektorze, już idę – odparł pokornie.

Znowu dywan. Ale gdzie ten stary piernik widział, że się spóźniłem? Przecież jego okna wychodzą na drugą stronę. A może wydzwaniał do mnie od ósmej. Nie ma się co zastanawiać, trzeba iść, bo gotów powiedzieć, że nie dość, że się spóźniłem, to jeszcze nie mogę do niego trafić. Znam ja te jego sarkastyczne przygaduszki.

Z duszą na ramieniu wstał zza biurka i udał się na rozmowę do gabinetu dyrektora. Idąc korytarzem cały czas zastanawiał się, skąd ten stary cap wiedział, że go nie ma. Za chwilę pewnie się dowie, że zostanie zwolniony. Przecież jak zacznie się tłumaczyć, dlaczego się spóźnił, stary i tak mu nie uwierzy. Powie, że to kolejna jego głupia wymówka i tak dalej. Czuł, że każdy kolejny krok przybliżający go do dyrektorskiego gabinetu jest coraz cięższy, serce zaczęło mu walić jak oszalałe. Gdyby korytarz miał jeszcze z dziesięć metrów, pewnie zaliczyłyby odlot. Zawahał się, trzymając rękę na klamce. W zasadzie co jeszcze gorszego mogło go spotkać? Zawał, zwolnienie, nagana, dyscyplinarka. Nacisnął klamkę. Uchylił nieznacznie drzwi i wśliznął się przez powstałą szparę do środka. Przez ułamek sekundy poczuł się jak bohater taniego kryminału, wchodzący, aby zabić nadętego bogacza i ograbić jego sejf.

Dyrektor siedział w swoim fotelu i rozmawiał przez telefon. Jego biurko stało pod oknem w odległości około ośmiu metrów od drzwi. Nie proszony, stał więc przy drzwiach, oczekując na ruch przełożonego. W końcu dyrektor skończył rozmowę, odłożył słuchawkę i z zimnym uśmiechem sięgnął do kieszeni po papierosy. Nonszalanckim ruchem zapalił zapalniczkę, pocierając ją o traskę położoną na blacie biurka i przypalił. Zaciągnął się, wydmuchnął kłęby dymu w jego kierunku, tak jakby chciał mu zrobić na złość, wiedząc, jak nienawidzi zapachu tytoniowego dymu.

– I co mi tym razem powiecie na swoje usprawiedliwienie, Rosolak. Słucham.

Leon już miał odpowiedzieć, jednakże dyrektor nie dał mu nawet zacząć.

– Jaką to historyjkę dzisiaj usłyszę, co? Nie, nie mówcie jeszcze. Muszę zacząć je zapisywać – sięgnął do szuflady wyciągając z niej notatnik. – Teraz możecie zaczynać.

– Więc ja... – zaczął cicho – ja... nie mam nic na swoje usprawiedliwienie – dodał, podnosząc jednocześnie głos. Miał już tego wszyst-

kiego tak serdecznie dość, że postanowił się nie wysilać i nie usprawiedliwiać. Niech się dzieje wola nieba!

– Oj, nieładnie, nieładnie, Rosolak, jestem rozczarowany! – dyrektor po raz kolejny obnażył swoje żółte od tytoniu zęby. – Czuję się zawiedziony. A wasi koledzy tak się starali!

– Przepraszam, ale nie za bardzo rozumiem. Czy mógłby mi pan to wyjaśnić?

– A co tu jest do wyjaśniania, Rosolak. Delikatnie mówiąc, ktoś cię zakablował. Powiem tylko tyle, że tym razem ci odpuszczę, bo nie znoszę kapusiów. Donosi ciela i lizusa ukarzę sam, ciebie zaś pozostawię w niewiedzy, kto chce ci się tak mocno przysłużyć i dlaczego. Zrozumiałeś? Jakies pytania?

– Nnnie – wyjąkał zupełnie zdezorientowany obrotem sprawy.

– No to wynocha do roboty, bo się jeszcze rozmyślę i wręcę naganę. Odmaszerować!

Nie patrząc już na Leona, dyrektor powrócił do swoich zajęć.

Nie pozostało nic innego, jak jeszcze raz przeprosić i wyjść z gabinetu. I tak też postąpił. Kto mógł na niego donieść i dlaczego? W zasadzie z nikim się w pracy nie przyjaźnił, ale i wrogów, jak mu się do tej pory wydawało, też nie miał. Widocznie był w błędzie. Postanowił, że znajdzie biurową hienę.

Wrócił do gabinetu i zajął się bieżącymi sprawami, wiedząc, że nikt za niego ich nie zrobi. Tym bardziej teraz będzie musiał uważać, bo widać ktoś czyha na jego stołek. Co za czasy – na jego stołek!

Po ośmiu godzinach pracy, trzech kawach i bułce z wędliną zbierał materiały, zamknął je w szufladzie biurka i wyszedł z biura. Postanowił przewietrzyć się trochę i wrócić do domu na piechotę. To da mu trochę czasu na przemyślenie wydarzeń dzisiejszego dnia. Miał już grupę potencjalnych podejrzanych. Teraz należało ich dyskretnie sprawdzić, wykryć sprawcę i go ukarać. Musi obmyślić plan zemsty.

Na przejście sześciokilometrowej trasy potrzebował prawie dwóch godzin – po drodze wstąpił bowiem do kiosku z gazetami. W zasadzie nie był to kiosk, ale samodzielnie stojący salonik prasowy, jakich w ostatnim czasie powstało w całym kraju tysiące. Pawilon znajdował się tuż przy drodze do jego domu.

Wszedł i zaczął przeglądać gazety. Po jakimś kwadransie stwierdził, że co prawda tytuły są różne, ale jakoś dziwnie tematy w wielu się

powtarzają, a co śmieszniesze, często zawierają te same zdjęcia. Jak tu zgarnąć jeszcze parę złotych? – oto przewodnie pytanie wydawców. Rozmyślając tak, zabrał swoje gazety i zde gustowany wyszedł. Rozejrzał się, przeszedł na drugą stronę ulicy i spokojnym krokiem ruszył w kierunku domu.

Mieszkał w bloku, w małej kawalerce – zaledwie dwadzieścia pięć metrów kwadratowych, ale jak dla niego było w sam raz. Jeden pokój, kuchnia, łazienka wraz z ubikacją i coś, co udawało przedpokój. Mieszkał tu sam od czasu, kiedy skończył studia. Aktualnie nie miał też żadnej partnerki. W jego życiu osobistym były różne, dłuższe i krótsze momenty, kiedy z kimś był. Niemniej jak do tej pory nie trafił na swoją drugą połowę. W zeszłym roku stuknęła mu trzydziestka, tak więc chyba najwyższy czas już kogoś poznać i założyć rodzinę. Tylko gdzie jej szukać? – powiedział do siebie. W pracy nie ma nikogo, sam z domu się nie ruszam – może by tak przez internet? Tak – to jest dobra myśl, trzeba będzie ją wypróbować. Z tym postanowieniem przekroczył próg mieszkania.

Po zaimprovizowanym obiedzie, na który składała się chińska zupka z torebki oraz pulpety w sosie pomidorowym z ziemniakami i ogórki, zabrał się do lektury przyniesionych gazet. Szczegółowa analiza ich zawartości potwierdziła tylko jego przypuszczenia. To co zwykle, czyli nic konkretnego. Kiedy miał już odłożyć dziennik na stolik, coś przykuło jego uwagę.

Tak, to mogłoby rozwiązać wszystkie moje problemy – uśmiechnął się nieznacznie, wyobrażając sobie, co go czeka w przyszłości.

- 4 -

Andrzej był jednym z wielu milionów mieszkańców tego kraju, którzy w zbliżających się świętach Bożego Narodzenia upatrywali swojej życiowej szansy. Państwowy Monopol Loteryjny ogłosił, że w specjalnych zakładach świątecznych po raz pierwszy do wygrania będzie zawrotna suma dwudziestu jeden milionów. Szybkie przeliczenie na dolary i otrzymany wynik zaparł mu dech w piersiach – ponad siedem milionów. I do tego jeszcze kupon specjalny, na który wygrać będzie można z pewnością niemałe pieniądze. Jakie? – tego obecnie nie

był w stanie nikt przewidzieć. Wielkość wygranej zależała bowiem od liczby zawartych w zakładach specjalnych zakładów. Mówiło się, że kwota ta może wynieść nawet milion. Wystarczy skreślić sześć liczb z czterdziestu dziewięciu albo mieć szczęście w losowaniu numerów serii z kuponów i można do końca życia nic nie robić. Takie życie to by mu się podobało. Sprzedaż zakładów miała się rozpocząć za tydzień, a już wiadomo było, że zainteresowanie będzie znacznie wyższe od tego, kiedy na giełdę wchodziły akcje PKO BP. Andrzej odstał swoje w kolejce, ale było warto. Lubił hazard i tak jak miliony jego rodaków wierzył, że los uśmiechnie się właśnie do niego.

- 5 -

Następny tydzień przeleciał Leonowi jak z biczem strzelił. Ani się obejrzał, jak znów był weekend. Dla niego weekend szczególny. Umówił się na randkę. Tak jak sobie przyrzekł, umieścił swoje ogłoszenie w internecie, samodzielnie szukając kandydatki. Uśmiechnął się na samą myśl, jak zgrabnie zatuszował swoje wady i podkreślił zalety. Spojrzał na ekran monitora i głośno przeczytał treść ogłoszenia, dzięki któremu jego życie być może zmieni się na dobre.

Wysoki, przystojny brunet, wykształcony, inteligentny, pełen pomysłów, pozna miłą, ładną, zgrabną i powabną osobę w wieku do trzydziestu lat.

Do tego krótkiego tekstu dołączył swoją co nieco wyretuszowaną fotografię. Co za wspaniałe osiągnięcie, technika cyfrowa to jest to – westchnął, z rozzerwieniem spoglądając na swoje zdjęcie. Zrobił je tydzień temu w miejscowym zakładzie fotograficznym, położonym niedaleko banku. Pamięta, jak rozmawiał z fotografem:

– Chciałbym zrobić sobie zdjęcie? Ile mnie to będzie kosztowało i jak długo będę musiał czekać, bo nie ukrywam, że zależy mi bardzo na czasie.

– No, to więc tak... Jakie zdjęcie konkretnie pana interesuje – dowodowe, paszportowe, do wizy, zielonej karty?

– Właściwie potrzebuję czegoś, co mógłbym mieć na dysku i przesłać przez internet – odparł, rozglądając się po sklepie. – O, takie jak tam – wskazał palcem na umieszczoną za szybą czarno-białą fotografię.